

Relacja żołnierza AK z oddziału Edwarda Blaszczyka „Groma”

Nazywam się Stanisław Szostak, pseudonim mój „Trzynastka”. Do 1939 roku mieszkałem w Puławach z rodzicami. Ojciec był zawodowym żołnierzem 2 pułku saperów kaniowskich, a matka była gospodynią domową. Chodziłem do szkoły nr 1 im. Józefa Piłsudskiego w Puławach. W 1939 roku z szóstej klasy zdawałem do gimnazjum. Zdałem, ale później nie było możliwości uczenia się. W harcerstwie byłem od czwartej klasy, a w 1939 roku zostałem nawet zastępowym, tak że tę przysięgę już składałem „Bóg, Honor i Ojczyzna”. Atmosfera przed wybuchem wojny tak, jak ją opisują była bardzo dobra. To ciekawe, że czym gorsza bieda była, czym gorsze wypowiedzi niemieckie, to naród się jednoczył. Przecież te tampony przeciwgazowe każdy robił, okna były zaklejane. Ludzie kosztowności, pierścionki dawali na sprzęt. Wiem też, że miasto Puławy nowy ckm wykupiło. Tego by na pewno teraz nie doświadczył. Skąd się to brało? Polska na nowo powstała, świeża Ojczyzna była i naród chciał ją utrzymać i mieć Ojczyznę, bo Polskę to można mieć taką, jaki rząd, jaka partia, ale Ojczyzna jest jedna, tak jak Matka. Nasze pokolenie ją straciło, to wie, co to jest stracić Ojczyznę, tak jak Matkę. Okres przed wojną przeżyłem bez ojca, bo on będąc saperem w marcu 1939 r. wyjechał budować bunkry koło Wągrowa przy ówczesnej granicy niemieckiej. Później się przedzierał, tak że miesiąc czasu do Puław szedł, a nas podoficerskie i oficerskie rodziny załadowali w samochód i wywozili na wschód, że wylądowaliśmy aż w Równym. Na drogę wychodziłem z bratem i mówiłem: „Dzień dobry, panowie”, ale lejtnant mówi: „U nas panów niet, tawriszcze”. No to my mówimy: „Zdrastwuj tawriszcze”. „A szto wy chatitie” pyta, to ja odpowiadam: „Diengi na pamiatku”. Zbieraliśmy na chleb, na cukier, bo kolejki były. Pełno ludzi było, bo wszyscy na wschód uciekali. Kto wie, czy byśmy przeżyli, ale tamtejsi Polacy wiedząc, że wojskowym wypłacali pieniądze powiedzieli nam: „Jak macie pieniądze, to z kolejarzami pogadajcie i uciekajcie stąd, bo jak tu będziecie, to już Polski nie zobaczycie”. No i matka z sąsiadką panią Niwińską poszły do kolejarzy zapłaciły im i do Uściługu nas dowieźli. Później Żyd nas wiozł do Bugu, ale dalej nie chciał wieźć, bo za Bugiem byli Niemcy, których Żydzi bardzo się bali. Był tam taki Rosjanin jeżdżący na koniu, to mówimy do niego: „Tawriszcz, on wziął diengi i nie chce jechać dalej”. To on Żyda po plecach i krzyczy: „Masz zawieźć!”. Dojechaliśmy do Hrubieszowa. Całe szczęście, że pani Niwińska pochodziła z Poznańskiego i dobrze знаła język niemiecki, bo dzięki temu w Hrubieszowie zaopiekowali się nami Niemcy. Dostaliśmy jedzenie z kuchni i później do Zamościa samochodami pojechaliśmy, a z Zamościa pociągiem do Puław. Okupacja była niemiecka. Mieszkania nie było, bo wszystko co ojciec zapracował zrabowano. Z ojcem spotkaliśmy się przypadkowo. Zobaczyliśmy go z bratem stojącego z konserwą przy niemieckiej kuchni. Był tak zarośnięty, że w pierwszej chwili to nawet go nie poznałem, ale młodszy brat prędzej podbiegł i zawołał: „Tatuś!”. Szliśmy z tego miejsca miastem i ojciec spotkał kolegę szwagra, takiego plutonowego Sygę, z Otwocka. „Co pan porabia panie Szostak?”. „Co porabiam? Widzi pan wróciłem, rodzina też wróciła, ale nie ma mieszkania, nie ma nic”. Kolega bardzo się ucieszył i powiedział: „Panie Antoni, pan z nieba mi spadł. Mam na Zielonej dwupokojowe mieszkanie z umeblowaniem, z odzieżą, ze wszystkim. Proszę ma pan klucze”. To nas uratowało. Może byśmy tam dłużej byli, ale zaczęły się aresztowania i wywożenia na Zamek i do wieży w Kazimierzu. Wtedy ojciec obrał kierunek Zamojszczyzny, do brata. Najpierw ja z ojcem pojechałem pociągiem. No i faktycznie tam się wydawało, że wojnę będzie można przeżyć. Lasy, i puszcze były, ale Niemcy ją tak wyharatali na baraki, że się rzadka puszcza zrobiła, ale mniejsza z tym. Lasy, do kolei 15 kilometrów, do miasta powiatowego 30 kilometrów. Warunki materialne się pogorszyły, ale ojciec znalazł pracę jako gajowy, to kartki dostawał, a ja pracowałem normalnie u stryjka na gospodarstwie. Z początku gęsi pasłem, sto gęsi, później krowy, później przecież już kosami kosili i trzeba było podbierać i te roboty rolnicze już robiłem. Wtedy zarabiałem na to jedzenie. Ciężko było, bo to tam Niemcy co jakiś czas przeprowadzali akcje. Wyłapywali ludzi to na Zamek, to na Majdanek. Jedni byli wywożeni, drudzy zostawali na wsi, inni w lesie, tak że te rodziny rozbite były, ale jakoś się trzymali, nie poddawali się do końca. Wierzyli, że Zachód pomoże, że w końcu nadejdzie jakiś ratunek. Wiara jednak trzymała na duchu, to trzeba przyznać. Jak byłem tam na Uralu, to gdyby nie ta wiara, to by się człowiek załamał, ale to podtrzymywało. Byłem kontaktowym miejscowej placówki z placówką leśną, meldunki prznosiłem. Zawsze dużo ustnych, mało na piśmie. W podeszwy do butów meldunek się wkładało, bo nieraz policja niemiecka, czy żandarmeria sprawdzała. Kiedy ich spotykałem to obmacywali i jak nic nie znaleźli to kazali iść dalej. Chodziłem po wioskach po amunicję do pistoletów, lornetki, różne akcesoria i prznosiłem to. Takie było moje zadanie, a przez rok czasu jak już się wciągnąłem w tę pracę konspiracyjną, to zaczęto mnie przygotowywać do przysięgi. Pamiętam, że pięciu nas zdawało. Buczek Ludwik, zawodowy plutonowy był od młodzieży i on przyjmował przysięgę. Po złożeniu przysięgi podchodził do każdego, podawał rękę mówił: „Cześć kolego!”. Byłem bardzo zmieszany takim spoufalaniem, bo gość był już żonaty i miał dzieci. Miałem opory i mówię: „Panie Ludwiku, ja tak nie

mogę”, a on na to: „*Nie sprzeczasz się ze mną, przysięgę złożyłeś i jesteś taki sam jak ja, czy ja zawodowy, czy ty świeżo upieczony*”. No i wtedy się uspokoiłem. Wtedy już przeszedłem do oddziału. To był 1942 rok. Jasio Buczek „Dąbek” był erkaemistą, a ja amunicyjnym. Podawałem amunicję, bo był jeszcze trzeci, który ładował. Nad rzeką Tanwią okopali się Kałmucy i tam była moja pierwsza akcja. Nasz dowódca Edward Błaszczak „Grom” lubił chodzić i przechodził koło mojego stanowiska, a ja trzęsłem się z wrażenia, a on od razu do mnie podszedł i mówi: „*Ja wiem, że to pierwsze kroki, że człowiek uważa się za odważnego, ale jest strzelanina to się gęsia skórka pojawia, ale weź to pod uwagę, że oni nas się też boją*”. Prowadziliśmy ze swoich stanowisk wymianę ognia z Własowcami, którzy nie byli regularnym wojskiem. To była najślabsza armia, bo Niemcy to co innego. Nasza placówka miała za zadanie prowadzić wywiad, szpicłów wyłapywać, utrzymywać kontakty i przekazywać rozkazy. Telefonicznie przecież tego nie można było zrobić. Były momenty, że jak Niemcy wysiedlali, to zostawała sama kobieta i wtedy złodzieje, pospolici bandyci napadali zabierając ostatnią krowę, konia. Były wypadki, że ludzie donosili i „Grom” z wybranymi ludźmi jechał, wyłapywał i w imieniu Polskiej Podziemnej załatwiał takich bandziorów. Placówki miały też za zadanie obserwować obcych, którzy pojawiali się w terenie i przysyłać meldunek dalej. Przychodzili różni handlarze np. za lnem lub konopiami i takich, którzy byli podejrzani wyłapywano. Dowództwo miało zdjęcia tych szpicłów i pytali się pokazując fotografie: „*Ten?*”. Jak otrzymali odpowiedź potwierdzającą, to padał rozkaz: „*Proszę jechać, zabierać go i na placówkę*”, tak, że Niemcy mieli kłopot z tym. Dużo szpicli ginęło. W Gminie Łukowa panował tyfus i przyjechała z Biłgoraja ekipa z Czerwonego Krzyża, a z nimi wkręcił się szpicel. Pojechaliśmy z erkaemistą „Jastrzębiem” z Józefowa, który zawsze lubił sobie popić bimbru, do Łukowej, żeby dostarczyć mąkę i odebrać chleb, który tam dla nas pieczono. Powoziłem ja, gdyż bardzo lubiłem jeździć zaprzęgiem. Podczas jazdy zauważyłem, że ktoś przeskakuje po przełazkach i nas obserwuje. Powiedziałem o swoich podejrzeniach „Jastrzębiowi”. Zajechaliśmy do Kraczka nazywanego Agronomem, a ten „obserwator” już tam jest. Siedzi w butach oficerkach, elegancki i zaczyna rozmowę: „*Ja z partyzantami nieraz się spotykałem*”. Natomiast uprzedzony przeze mnie „Jastrzęb” wyjął pistolet dziewiątkę polską i mówi: „*Tym pistoletem już trzech rozwalilem. Mnie się zdaje, że czwarty też będzie rozwalony*”. Szpicel nie dał po sobie nic poznać, że zrozumiał. Następnie pojechaliśmy do aptekarza, a tam dowództwo było. „Jastrzęb” melduje, żeśmy tego co nas obserwował widzieli. Rozpoznaliśmy go na pokazanym nam zdjęciu. Okazało się, że to był Stopa z Biłgoraja, który wcześniej służył z moim ojcem w Puławach. My z chlebem pojechaliśmy z powrotem, a nim zajęła się druga ekipa i sprowadziła na placówkę. Na placówce Stopa spotyka mojego ojca i mówi: „*Panie Szostak pan tu?*” Ojciec mu odpowiedział: „*Byłem tam, a teraz jestem tu, a pan co?*” On zaczął się żalić: „*A to żona taka k...a z gestapowcem się zadaje i mnie wciągnęła*”. Na przesłuchaniu zeznał, że za każdy łepiek Polaka dostawał 1000 złotych, litr spirytusu i różne materiały. Za zdradę Ojczyzny skazano go na śmierć. W oczekiwaniu na egzekucję kazano mu stanąć na położonych drzwiach, a on tylko poprosił: „*Chłopcy tylko dobrze strzelać*”. „*Nie martw się łupniem, że nawet nie drygniesz*”. Po odczytaniu wyroku tuż przed rozstrzelaniem jeszcze się wziął na siłę i „Jeszcze Polska” zanucił. Drugiego takiego rudego szpicla przetrzymywaliśmy na placówce. Wartę przy nim pełnił młody chłopak, sierota, przyjęty do pomocy do kuchni, a ten cwany był skłamał, że pić mu się chce i uciekł. Było wiadomo, że jak zagrożenie jest to trzy strzały w górę idą. Jak tylko padły trzy strzały to „Błyskawica” z lewej strony tra ta ta ta, Rusczy z prawej tra ta ta ta, a jeszcze dalej z lewej „Burza” tra ta ta. Wtedy ten głupi rudzielec znowu wrócił do obozowiska. Do odważnych się zaliczałem, ale nie mogłem patrzeć co z nim robili. „*To ty chciałeś uciec, dostałeś jedzenie, picie traktowaliśmy cię jak człowieka*”. W oddziale latem było nas więcej, a zimową porą mniej. Normalnie oddział liczył 50 osób, a na zimę zostawało w lesie około 25 partyzantów. Zimy w 1943 i 1944 roku były bardzo mroźne, a śniegu to równo z płotami było. Wtedy byłem w lesie, bo się pytali kto może. Nie wyznaczali, nie mówili, że ty, tylko raczej ochotniczo. Na zimę mieliśmy wybudowany barak z żelaznym piecykiem w środku. Różniło się i rąbało drzewo, paliło w tym piecyku i ciepło było tak, że można było chodzić w bieliźnie. Stała kuchnia i szałas dla koni, bo konie i furmankę też żeśmy mieli, aby można było coś dowieźć. Z początku jak jeszcze ludność polska była na wioskach, to dowódca wybierał ludzi i jechali na wieś, czy do gminy, albo do wójta, a wójt wtedy zwracał się do sołtysów, że potrzebujemy dwie świnie albo jałówkę. Sołtys szedł na wieś i mówił: „*Partyzanci chcą dwie sztuki świń, a resztę to wicie co robić*” i przy tej okazji na konto partyzantów dodatkowo zabijali świnie dla siebie i rąbanki szły na Lublin, na Warszawę. Później jak już przeprowadzono pacyfikację i wysiedlili naszą ludność dostęp do żywności był utrudniony. Ukraińcy byli uzbrojeni, to już było trudno coś zdobyć i trzeba było wtedy robić kierunek na Lienschafty na powiat zamojski, tam na te kolonie niemieckie. Tak, że różnie było, raz można było się najeść, a raz się chodziło i zbierało jagody i wody ze strumyka się napiło. Głód był. Z początku nie było tak źle, ale tak jak nadmieniałem, jak później te pacyfikacje były i Ukraińców nasiedlili, to już wtedy było trudno i dlatego na zimę te oddziały się zmniejszały nie to, że się bali, że amunicji było mało. Z amunicją to nie kłopot, zawsze można było zdobyć. Pod tym względem nie

było źle, ale z żywnością to było gorzej. Zamojszczyzna to pas lessowej ziemi, to tam tylko pszenica i buraki. Niemcy tutaj chcieli te kolonie założyć, ale w końcu to się nie udało. Druga rzecz, że z początku to nawet na wioskach kobiety w tych dzieżkach miesiły i piekły chleby razowe. Siedem chlebów dwukilowych na cały tydzień i jak w sobotę był siódmy chleb, to jak się wzięło, to taki był, jakby wczoraj upieczony. Tak wyrobiony był, że ładnie wyrósł. Jak chleb był, to do chleba zazwyczaj zupy serwowano. Na święto, czy niedzielę to tam kucharz drugie danie jakoś kombinował. Jednak na ogół to nie za wesoło było i dowództwo się obawiało, że może być załamanie, bo to jednak dużo ludzi młodych było, co tak jak ja, dopiero przysięgę składało. Takiemu młodemu się zdawało, że on jest bohater i nie boi się niczego, ale jak nie było co zjeść, to różne myśli chodziły po głowie. Na szczęście wojskowa dyscyplina utrzymywała w ryzach. Byli tacy, co nie chcieli zostać w oddziale, to ich nie zatrzymywano. Niemcy stworzyli samozwańczy oddział partyzancki z ludzi ze Śląska i z Poznańskiego, co znali język polski i oni swoją działalność obrócili na wioski pod lasem. Na Osuchach byli też, ale to już ludzie byli przekonani, żeby z obcymi nie rozmawiać, a tego oddziału co przychodził nie znali, więc go ignorowali. Ludzie z tego podszywanego oddziału byli ubrani po cywilnemu jak partyzanci. Uzbrojeni byli mniej więcej w podobną broń tak, że ktoś niezorientowany mógł się nabrać. Oni zawsze zjawiali się na wieczór. W dzień nie działali, tylko na wieczór. Wtedy pytali się, czy ktoś ma broń, za rkm płacimy 2000, za karabin 500, ale tak jak nadmieniłem ludzie byli uprzedzeni, wiedzieli i nie dali się nabrać tak jak w Sochach. Tam sołtys sprzedawał im erkaem, sam przez to zginął i cała wieś została spalona. Ci, co się nie schowali do schronu to zginęli, taki był efekt działalności. Szarajówka to inna historia. Było takie miasteczko Tarnogród i tam Niemcy z Ukraińcami gospodarzyli. Sowiecka partyzantka robiła wypadki na niemieckie sklepy w Tarnogrodzie, a w powrotnej drodze zaglądała też do Szarajówki. Na te wioski ukraińskie też chodzili. O wizytach Sowietów w Szarajówce dowiedzieli się Niemcy, więc przyszli i spalili tę osadę. Wszystkich mieszkańców, kobiety, dzieci do stodoły zamknęli, benzyną oblali i podpalili. Powszechnie się wówczas mówiło, że na kilometr, a nawet dwa kilometry było słycać płacz i krzyk żywcem palonych ludzi. Najsilniejsze ugrupowanie Ukraińców było w Zamościu, później na południu: Tarnogród, Księżpól, Łukowa, Tomaszów Lubelski, Hrubieszów. Siedzibą policji ukraińskiej w Łukowej był murowany budynek dawnego urzędu gminy. Zamurowali w nim okna zostawiając tylko wąskie szczeliny jak na strzelnicę. Drzwi też były zamurowane i dodatkowo obite blachą. To była prawdziwa twierdza. Można było strzelać, a od cegły odbijały się tylko iskry i ogień. Mój ojciec, jak wcześniej wspomniałem, był gajowym, a w konspiracji trudnił się wywiadem. Taką rolę pełnili w większości wszyscy pracownicy służby leśnej. Nadleśniczy mieszkał w Łukowej i ojciec nosił mu meldunki raz o drzewostanie, o lesie, a drugi raz o wywiadzie. Jednego razu szedł do nadleśniczego i zatrzymali go Ukraińcy zwracając się do niego: „*Dzień dobry panie lesawoj, proszę do nas w gości*”. Powiesili ojca za nogi do góry i tłukli tak, że jak później go wypuścili, to po powrocie do domu był cały siny. Matka miała denaturat i tym denaturatem smarowała obrażenia, a ojciec tylko leżał. Nie wiem jak on wytrzymywał ten ból. Dwunasta godzina w nocy, a tu do okna pukają, więc pytam się: „*Kto tam?*”. Pada odpowiedź: „*Swoi*”. Tak to każdy mógł powiedzieć, a może być Ukrainiec, albo Niemiec. W końcu słyszę: „*Grom*”. No to trzeba było mówić od razu. Drzwi otworzyłem, wszedł, przywitał się i zwrócił się do ojca: „*Panie Antoni podobno pan w gościach był*”, a ojciec na to: „*No tak. Nawet nieźle mnie przyjęli*”. „*Grom*” rozkazał: „*Ubieraj się pan, jedziemy*”. Matka zaczęła protestować, żeby nie zabierali chorego, a „*Grom*” na to: „*Co pani pomoże mężowi tym denaturatem. A my mamy lekarzy. Wyleczą*”. Nie mówił przy żonie, że ojciec ma jakieś zadanie do wykonania tylko obiecał, że jak będzie chciał to wróci, bo przecież ma tutaj pracę. Ojciec wyszedł do sadku, gdzie pod ulami trzymał mydełka i sponki. Zabrał to wszystko i poszli. Te mydełka to materiał wybuchowy. Przez okres leczenia zrobił dwie paczki z ładunkiem wybuchowym. Odgrażał się: „*Oni mnie ugościli, to ja im przesyłam w gości dwie paczki*”. Okazało się, że te paczki pomogły, bo dzięki nim zamurowane, frontowe drzwi zostały rozbite i weszli do środka z butelkami z benzyną. Oblegani nie poddawali się do końca. Wśród nich było dwóch Niemców, a wszystkich w sumie siedemnastu i wójt ze szklanym okiem. Nie poddawali się. No to wtedy te dwie paczki poszły w ruch. Pocisk stu pięćdziesiątka podłączony i na zewnątrz podpalony rąbnął potężnie. Wybuch był tak silny, że zamurowane drzwi wyleciały w powietrze i tylko było słycać „*Mein Gott!*” i „*Hospodi pamituj!*” i koniec. Za jakiś czas cztery samochody Niemców przyjechało. Ukraińcy mówili: „*To te Polaki, Lachy w dzień robią w polu a w nocy wyciągają z między broń*”. Niemiec puka się w czoło mówi: „*To chłop? Alles Banditen, partyzant zrobił a nie chłop*”. Niemcy pokręcili się trochę i pojechali. Wtedy partyzanci poszli po wiosce i mówili do nasiedlonych Ukraińców: „*Na drugą noc w wieczór jak przyjdziemy, to żeby was już tu nie było, bo jak będziecie, to będziemy strzelać*”. Nazajutrz Ukraińcy uciekali, ale zabierali krowy, konie, świnie i cały dobytek. Polacy dali znać do „*Groma*”. Nasi mieli z różnych potyczek niemieckie mundury, założyli je szybko, stworzyli oddział i furmankami na skrótty popędzili do tzw. Galicji. Tam stanęli i czekają. Patrzą jadą Ukraińcy z łupem. Wyszli na drogę i wołają: „*Halt! Halt! Skąd wy?*”. Ukraińcy odpowiedzieli, że z Łukowej. Na pytanie co się stało poskarżyli się:

„*Lachy riezajut panie, ubili naszych*”. Nasi pytają: „*A te konie, krowy to wasze?*” Gdy Ukraińcy zaprzeczyli przebrani za Niemców partyzanci wydali im rozkaz: „*Złazić z furmanek*”. Całe zrabowane mienie wróciło z powrotem. Pamiętam jak ryczała krowa, bo bardzo nabrało jej wymię, gdyż długo była nie dojona. Chcąc jej ulżyć doilem bezpośrednio w trawę i takie dobre mleko się zmarnowało. Najpierw to oni śpiewali w tym posterunku: „*Pijdemo chłopcy morwa i sława za Wikrainu zbudujem prawa*” i wygrażali Polakom: „*My tu dziedziczym Ukrainu, musim riezac Polakow, tak kak za Bugom i w Karpatach*”. Teraz ci „gieroje” musieli uciekać i tak ta akcja z Ukraińcami się zakończyła.

Niektórzy lekarze, co nie mogli się już utrzymać w szpitalu, to byli w lesie na placówkach m.in. chirurdzy. Dyrektorem szpitala w Biłgoraju był lwowiak z pochodzenia Stanisław Pojasek, który należał do naszej organizacji i niejednokrotnie z poświęceniem ratował życie i zdrowie partyzantów. Pamiętam jak „Wir” dostał groźny postrzał w nogę i na placówce w lesie powiedzieli, że nie dadzą rady zrobić operacji, to załadowano go na furmankę i zawieziono do Biłgoraja. Podjechali od tyłu szpitala pod okno, a tam już na niego czekali wtajemniczeni pracownicy szpitala. Po korytarzu kręcili się gestapowcy, a doktor Pojasek przeprowadzał operację.

Z początku często się nie spotykałem z oddziałem, bo to było z 15 – 17 kilometrów od mojego miejsca zamieszkania. Później jak „Grom” się przeniósł spod Józefowa bliżej Osuch to te kontakty były już częstsze. Z obozu leśnego „Groma” do Osuch było jakieś 3,5 km. Zresztą ojciec przychodził na placówkę i jako saper przeprowadzał szkolenia w zakresie minierki, uczył jak strzelać (szczerbinka, mucha, opór). Przestrzegał nas, że przy czyszczeniu broni lufa ma być skierowana do góry albo do ziemi, bo broń nieraz sama strzela. Zdarzały się takie przypadki, że stopy sobie przestrzeliwali podczas konserwacji broni. W czerwcowej akcji 1944r. było wiele ofiar. Niemieckie pisma podawały, że pod Osuchami brało udział trzy dywizje niemieckiego wojska, Własowcy, kompania SS i artyleria. Z ojcem i z kolegami braliśmy udział w walkach, a matka i brat zostali w świeżo wybudowanym schronie. Niemcy rozpoznawali te świeże schrony, bo z psami szukali. Ze starych schronów to żadnego nie znaleźli. Wtedy matka i brat zginęli. Później jak wróciłem z ojcem na to gospodarstwo, to zastaliśmy tam 51 zamordowanych osób, dzieci, kobiety, mężczyźni. Leżeli spaleni pod stodołą. „Poznaniak” miał tam siostrę z dzieckiem. Wykopaliśmy duży, głęboki dół i składaliśmy do niego szczątki pomordowanych. Nosiliśmy te ciała na drzwiach od młockarni. „Poznaniak” wziął pustą butelkę półlitrowkę, kawałek papieru i ołówek. Zapisywałem jakieś dostrzegalne znaki szczególne np. włosy, fragmenty odzieży itp. Kartkę włożyliśmy do butelki, którą zatkaliśmy korkiem z drzewa i zakopaliśmy razem z ofiarami. Przy ekshumacji mnie nie było, bo wtedy byłem już tam na tych białych niedźwiedziach. Akcją „Wicher” była objęta cała Lubelszczyzna, ale najwięcej zwrócona została przeciwko powiatowi Biłgoraj. Zaczęła się 21 czerwca i trwała do 26 czerwca. Przed planowaną polską akcją „Burza” major „Kalina” zwiększył oddziały ogłaszając mobilizację i ci, co byli w domach poszli do lasu. Przez to zginęło więcej ludzi. Nasz oddział został rozdzielony, bo „Grom” z połową oddziału poszedł na zgrupowanie 9 pułku, którego dowódcą był major „Adam”, a tutaj w Puszczy Solskiej kierował nami ojciec. Z naszego plutonu nikt nie zginął dzięki Bogu. Nie wiem, czy mieliśmy szczęście, czy też o naszym ocaleniu zadecydowało to, że ludzie byli już obcy ze strzelaniną i wiedzieli jak się zachować, a to dużo znaczy. Dużo ludzi zginęło. Prawie trzysta osób spoczywa na cmentarzu w Osuchach. Jak wybuchło Powstanie Warszawskie to wyruszyliśmy na pomoc stolicy. Doszliśmy do Lublina, a lubliniaki mówią: „*Wracajcie, nie dojdziecie do Warszawy. NKWD wyłapuje i wywozi*”. No to żeśmy wrócili. Dowódca powiedział, że skoro nie doszliśmy do Warszawy to rozwiązujemy oddział i zdajemy broń, a my mówimy: „*Oddział możemy rozwiązać, ale broni nie oddamy, bo nam się jeszcze może przydać*” no i tak się skończyło. Gorszą część broni przekazywaliśmy do milicji, a lepszą zakopywaliśmy. Ja też zakopałem, ale później nie mogłem znaleźć. Zresztą po tylu latach to nie dziwne. Dwudziestego grudnia 1944 r. szykowaliśmy się z ojcem do spędzenia świąt w swoim mieszkaniu, ale niestety okazało się to niemożliwe. Niespodziewanie pojawiło się pełno enkawudzistów, ubowców i milicjantów z psami, którzy nas obskoczyli. Ojciec zwrócił się do nich po rosyjsku, bo dobrze znał ten język jeszcze ze szkoły. Rosjanie byli ogromnie zaskoczeni jego poprawnym akcentem. „*Szto ty za adin oficer, czy kto?*” Ojciec zapytał: „*Gdzie nas zabieracie?*”, a oni na to: „*Budietie sieno grudzić*”. Oni wtedy zbierali z łąk siano, przewozili do gminy Łukowa i tam składali, bo tych koni mieli dużo i potrzebna była dla nich pasza. Obława ta szła przez wioskę i jeszcze paru z Osuch wyłapali. Zatrzymali też paru z Józefowa. Dotarliśmy do Chmielka do takiej starej chałupy pełnej słomy i w tej słomie żeśmy siedzieli. Przez dzień dawali nam spokój, a jak tylko zapadał wieczór zabierali kolejno do stojącego obok drewnianego domku z okiennicami. Jako pierwszy zostałem wywołany tam do nich na przesłuchanie. Wchodzę do izby, w której stał stół a za stołem widzę ukraińską, kwadratową głębę. Obok izby był alkierz, gdzie siedziało jeszcze dwóch pomocników, gdyż przesłuchujący nigdy nie był sam. Zaczęło się śledztwo. Padają pytania: „*Młody jesteś jeszcze, powiedz, gdzie „Wir”, gdzie „Grom”, gdzie aróże, gdzie puszki?*” Odpowiedziałem, że była akcja i Niemcy rozbili oddziały, pobierali wszystko i ja nic nie wiem. „*A sukin*

syn taki młody, a nie chce powiedzieć prawdy". Jak wchodziłem to nie zauważyłem, że w jednym rogu maglownica do maglowania stoi, a w drugim tłuczek do ubijania. Enkawudzista wziął tę maglownicę i tak mnie stuknął w kark, że z krzesła spadłem na podłogę. Tych dwóch wyskoczyło z wiadrem z wodą i drwią: „*Szto ty zabaliał?*”, a ten „kwadratowy” mówi: „*Kanwajent zabiraj te swołocz polske*”. Taki był mój pierwszy kontakt z NKWD i bezpieką. Jak tylko wróciłem do aresztu koledzy zaczęli wypytywać jak się ubierać. Powiedziałem im: „*Możecie się ubierać jak chcecie, a załatwiają tak, jak króliki albo zajęce, bo walą w kark albo za uszy*”. Później prowadzili nas do powiatowego miasta. Piętnaście kilometrów szliśmy pieszo, a później furmanki zorganizowali i dowieźli nas do Biłgoraja. Najpierw zajęło się nami NKWD. Ich siedzibę otaczało duże podwórko a na nim stał pień, na który enkawudzisci kazali się każdemu z nas położyć no i tam odliczali swoje. Później przebiertkę zrobili i na UB przekazują, ale ubek Słowik odmawia przyjęcia więźniów i stwierdził: „*To nie są nasi ludzie*” a Rusek na to: „*Nie są wasze, no to raschaditje sie ludzi*”. Jak usłyszeliśmy „*Raschaditje sie*”, to zaczęliśmy się rozglądać, gdzie tu się schować. Jak byśmy w zabudowania wpadli, to guzik by nam zrobili. Tam ludzie już by nam pomogli, ale niestety zabrali nas do UB. Na śledztwo brali na górę, gdzie był taki obity pokój i tam trzeba się było kłaść na podłodze. Jeden ubek stawał na jedną rękę, drugi na drugą i na krzyż, a dwóch innych biło w pięty, a później na koniec jeszcze obcęgami paznokcie wyrwali. Wyło się, wyło, bo człowiek nie wytrzymał z bólu, ale nic się nie dowiedzieli. Na dole w piwnicy takie pomieszczenie było, że tylko się weszło na stojąco, a tam z góry woda kapała kropla po kropli. Na koniec pojawili się pułkownicy NKWD w białych kozuchach. Wcześniej już współwięźniowie mówili nam, że jak się pojawią pułkownicy to będziemy wywiezieni. Sortowali nas jednych na lewo, drugich na prawo. Ojciec tak był zbity, że Rusczy nie chcieli go wziąć. Ten Słowik przedstawiał go jako herszta i wypychał do transportu, ale ten pułkownik powiedział, że oni potrzebują zdrowych ludzi do roboty, a „*starik*” w drodze umrze i jeszcze będzie z nim kłopot. Nawet nie miałem czasu się pożegnać, bo od razu załadowano mnie na samochód. Siadaliśmy po obu stronach burt, a na końcu dwóch Rusków z pepeszami i kierunek Lublin. Z tego co wiem, to transport liczył 1500 ludzi, który później tam na miejscu zostali podzieleni na dwa lagry. Myśmy trafili do lagru po Finach. Rusczy mówili, że tylko Finowie i Polacy wytrzymali w tamtych warunkach. Okres zimowy trwał tam 9 miesięcy, a mróz wynosił „*sorok - sorok piat*”. Do Uralu było 40 kilometrów. Mołotow, powiat Kiziel, miejscowość Połownika, czetwiorta szachta. Pracowaliśmy w kopalni węgla sięgającej 600 metrów w głąb. Kopalnia składała się z dwóch poziomów, jeden liczył trzysta, drugi 600 metrów głębokości. Z początku po 12 godzin żeśmy robili, a później już po 8. Mieliśmy jechać windą, ale jak to u Rusków, winda się zepsuła no i po schodach kazali iść. Koło mnie szedł Rusek i Ukrainiec. Koledzy zaczęli śpiewać: „*Serdeczna Matko opiekunko ludzi*”, a Rusek do Ukrainca: „*Co tak Polaki piejut?*” To Ukrainiec mówi: „*Do Boga modlut się*”. Rusek na to: „*Szto ani zdurieli, ten Boh i tak daleko i nie słyszy*”. Spojrzeliśmy jeden na drugiego i pomyśleliśmy, że chyba zmierzamy do piekła. Z lagru do kopalni prowadzili nas pod bronią i straszili, że krok w lewo albo w prawo od kolumny, to będą strzelać. Więźniowie sowieccy mówili, żeby ich się nie bać, a my powiedzieliśmy: „*Jak się nie bać, przecież oni mają karabiny.*” Na to oni: „*Zobaczcie jakie mają karabiny, zbieranina, i amunicji nie mają do tych karabinów a tak straszą, że będą strzelać*”. Faktycznie tak było. W Lisogonach w tej kopalni, pracowałem przy stemplowaniu. Byli tam też Ukraińcy, którzy nam dokuczali i do bicia się brali. Po pracy NKWD jeszcze nas brało do noszenia węgla na opał dla nich. Takie nosidła były drewniane i na te nosidła nakładało się zależnie od wielkości dwie lub trzy bryły węgla i 5 km musieliśmy targać to do NKWD. Uległem nieszczęśliwemu wypadkowi na kopalni. Przysłużył mi się enkawudzista obok którego przechodziłem jako ostatni. Popchnął mnie i noga wpadła w te tłoki co idą od parowozu. Chyba by mnie wciągnęło całego, ale koledzy podskoczyli, wyciągnęli mnie i tylko stopa była ucięta. Wtedy wszyscy Polacy alarm zrobili w lagrze. Pociąg towarowy zatrzymali i od razu amputacja była. To mnie uratowało, bo jak przedtem kolega spadł i miał złamanie między kolanem a pachwiną to nie miał tak szybkiej pomocy jak ja. Przywieźli go do lagru, rzucili na korytarzu i gangrena się wdała. No jak już gangrena to koniec. Ten kolega miał zaledwie dwadzieścia parę lat. Zostawił żonę i dziecko. Stachanowcy normy robili i przez te ich normy wypadki były. W kopalni pracował Rusek, który nazywał się Szostakow, ale on zachorował, a ja u nich też się nazywałem Stanisławowicz Antonowicz Szostakow. Spędzili nas na plac, gdzie enkawudzista wywołuje tych, którzy wykonali normę i w nagrodę rozdziela suchy pajok tzn. amerykańską konserwę i woreczek kriczki. Wywołuje Szostakowa, a tu nikt się nie zgłasza. Chłopaki mówią: „*To ciebie wywołuje*”. Zaprotestowałem: „*Jak wywołuje, ja się nazywam Stanisław Szostak, a to Antonowicz Stanisławowicz Szostakow*”. Koledzy przekonywali: „*Ale to ty jesteś tylko po rusku*” i w końcu wystąpiłem. Enkawudzista podleciał i krzyczy: „*Szto ty głuchoj?*” Potem wręczył mi w nagrodę tuszonkę. Z jednym kolegą z Biłgoraja (zapomniałem jego nazwisko), który nie palił to zamieniłem na kriczkę. Polacy też tę normę wykonywali, to dawali śledzia (czasami tylko głowa i ogon) i dwa gramy sała. To co robiliśmy? Nitkę wiązaliśmy, żeby nie od razu zjeść i tak wpuszczali go gardła i wyciągali. Ale ktoś dowcipny był i zażartował: „*Ale tobie idzie*” i połknąłem. „A

by cię diabli, no i co żeś narobił”. „Po co masz męczyć” powiedział. Chleb piekli tam na parze, był jak glina i dwadzieścia gram tego chleba wyglądało tak jak kostka. Raz powiedziałem sobie, że nie zjem, zostawię na później. Położyłem ten chleb za drewniany zagłówek mojej pryczy. Oj męczyłem się długo i połem przewracając się na jeden bok i na drugi, aż w końcu sięgnąłem, zjadłem i dopiero mogłem zasnąć. Takie było to nasze obozowe życie. Przy życiu trzymała nas wiara. Rusczy mogli tam się nabijać, śmiać się, ale oni też się później przekonali. Był taki Rusek, który pracował tam gdzie ja z zapalszczykiem. Rusek wiercił w węglu i jak wiercił to kłął po rusku tak, że bluźnił przeciw Bogu, a my mówiliśmy sobie: „Czy widzisz Boże? Jak tu Swego miłosierdzia nie okażesz, to my się chyba odwrócimy od Ciebie” i bryła się oderwała i Ruskowi łeb rozwaliła na pół. Dwa tygodnie go nie było. Po dwóch tygodniach wrócił. Kłął ale przeciw Bogu już nie bluźnił. A widzisz kacapie jednak pomogło. Nawet złodziei UB zamykało. Jeden taki z Tarnogrodu okradał nas nawet w lagrze i z Ruskami prowadził handel. Kradł buty z cholewkami. U nich przyszew mogła być skórzana, ale cholewa już parciała była. Tę parciałą cholewę pastą smarowali na czarno, a później połysk robili i oficerki mieli. Chłopaki tego złodzieja wymacali i na tym placu, żeby nie ta straż i ten naczelnik, którzy go odratowali, skończyłyby marnie. Raz zapytałem się zapalszczyka: „Dlaczego ty towarzysz dasz mnie zakurzyć choć ja młody jestem”. Wtedy zapalszczyk opowiedział mi o swoim życiu: „Byłem w Polsce i u kitajców byłem, bo kiedyś jak wojna była to parę lat trwała. Szło się młodym, a wracało się z węsami. Mój ojciec był kułak i wiedział ile tej ziemi miał. Ojca rokułaczyli i pomarli, a ja w tym lagrze byłem”. Zapytałem ile lat dostał. Powiedział, że 10 lat. Taka już u nich norma była. Spaliliśmy na drewnianych pryczach. W baraku były duże, blaszane piece, ale węgiel musieliśmy przynieść sami, bo oni nie dostarczyli węgla. Po pracy każdy brał kawałek węgla, rozpaliliśmy w piecu i wtedy w bieliźnie żeśmy mogli być w tych barakach. Jak nas tam golili, myli bez ubrania w tym kiżlu to spytałem się Ruska ile jest stopni i jak odpowiedział: „Sorok - sorok piat” to czułem, że włosy mi dęba stają, a przecież przed chwilą mnie zgolili. U nas temperatura minus 20 – 25 i wiatr to było zimno, a tam nie. Klimat śródlądowy i tam nie ma wiatru, bo jeszcze jakby wiatr był tak jak w Polsce, to ucha nie ma, nosa nie ma. Finowie i Polacy to wytrzymywali, a Niemczaki, Francuzi, Włosi i Węgrzy marzli, odmrażali ręce i stopy. Co nas najgorzej bolało, że żywili Szwabów i w barakach ich trzymali, a nas traktowali gorzej od nich.

Miesiąc czasu żeśmy jechali z powrotem. Najpierw dojechaliśmy do Brześcia. Przez drogę karmili nas słonymi śledziami. Pod wagon podchodzili i pytali: „Chocicie sielotki?” Odpowiadaliśmy: „Nie chcemy, idźcie i weźcie sobie te sielotki”. Pamiętam, że jak zatrzymali pociąg w Brześciu to stały kałuże z wodą i w nich leżeli jeszcze zabici Niemcy. Rusczy wagony pootwierali i ludzie wyskakiwali do tych kałuż pić po tych słonych śledziach. Później już polska stacja Terespol była i w Terespolu robili zdjęcia i paczki z UNRY dzielili. Były to duże paczki składające z dwóch mniejszych i taka połówka była na dwóch. Taki Kazik (już nie żyje) to dzielił się ze mną. Jak już podzielił to jeden cukierek został. Patrzę a on ten cukierek wziął na zęby, podzielił na pół i mi dał. Przyszło tam pełno ludzi i widziałem jak im łzy z oczu leciały na widok tej sceny. Wcześniej jeszcze ubowcy przyszli, otworzyli wagon i jeden ubek pytał za co żeśmy byli w łagrze, to mówiliśmy, że za AK. Już odchodził to my do niego: „Chwileczkę, chwileczkę tu nie tylko za AK, tu jest jeszcze jeden gość. Niech i on powie za co. Za handlowanie bronią” i zaczęliśmy się głośno śmiać. Ubek wykręcił się tylko na piętach poszedł. Później jak już bilety dali pojechaliśmy z kolegami od nas do Lublina. Z Lublina oni jechali do Osuch a jeden kolega, nawet nie wiem skąd on był, przywiózł mnie do Biłgoraja do szpitala. To 1946 roku w styczniu było. Przed Bożym Narodzeniem wyjechaliśmy, a w styczniu dotarliśmy do Polski. Miałem szczęście w nieszczęściu, że trafiłem do szpitala. Tam się mną zaopiekowali lekarze i dyrektor Pojasek. Jak wyszedłem na Biłgoraj i siedłem na tych szczudłach to stawałem co jakiś czas i odpoczywałem, a pani torebkę otwiera i szuka tam drobnych, wtedy ja na pięcie i myk. Bardzo nie lubiłem tej jałmużny. Owszem jak powiedzieli, że na obiad zapraszają, czy na pięćdziesiątkę, czy na setkę, to się zgodziłem, ale tego nie chciałem. Ludzie stawali i się dziwili. Byli tacy, że zbierali, ale to już ostateczność była, takie poniżanie swojej godności. Jak w tym szpitalu byłem, dyrektor Pojasek obiecał, że mnie wyleczy, że postara się o protezę, o rentę, ale UB nie pozwoliło. Przyszedł pożegnać się. Łzy mu z oczu poszły i mówi: „Niestety musimy się pożegnać”. Wtedy mnie się zdawało, że ja bez nogi już sobie nie dam rady w życiu, ale dowiedziałem się, że ojciec jest na Zachodzie. Założył drugą rodzinę¹ i tam już leśniczym był. W Lublinie czekałem na pociąg do Kołobrzegu. Był tam na dworcu taki marynarz bez rąk i bez nóg. Na takim wózku miał deskę i organki i na tych organkach grał. Woził go jakiś człowiek. Później poszedłem do restauracji przy dworcu. Chciałem się napić lemoniady. Spotkałem tam tego marynarza, a on mówi do mnie: „Kolego ja stawiam”. Z początku nie chciałem, kępowałem się przyjąć poczęstunek od niego, a on wtedy: „Co gardzisz?” Odpowiedziałem: „Nie gardzę, jak proponujesz to niech będzie”. Chciałem powiedzieć za twoje zdrowie, ale się ugryzłem w język. A on taki zadowolony, że mógł kogoś ugościć, od nowa siadł do tego wózka i grał na tych organkach. Wtedy powiedziałem sobie: „Popatrz jak on sobie daje radę i cieszy się z tego życia, to jak protezę będę miał i zacząć pracować, to mogę żyć.” Pojechałem do ojca i tam u niego

w gminie wszystko mi załatwili. W Toruniu był zakład dla inwalidów. Niby państwowy, ale gmina wszystko opłacała i tam się zawodów uczyło. Była tam możliwość uczenia się zawodu krawieckiego, cholewkarskiego, szewskiego, elektronicznego, ale te kursy były już wszystkie zajęte. Dla mnie pozostał kurs włókienniczy. Jedną nogą na warsztacie szaliki dla kolegów robiłem. Potem do Dzierżoniowa mnie przywieźli, a kierownik zakładu w śmiech. Zaprowadził mnie na halę, a tam maszyny chodzą. „*Jak pan tu na jednej nodze da radę, przecież pan by zginął między tymi maszynami*”. Kierowniczką wydziału pracy i płacy dowiedziała się, że inwalida tutaj do pracy się zgłosił to zaraz mnie do siebie wzięła i tam pracowałem. Mieszkanie dostałem i pracę, żona też dostała pracę, bo była z urody podobna do Żydów, a dyrektor zakładów włókienniczych był Żydem. Żydzi ją wkęcili do tej pracy. Oni zakładali spółdzielnie pracy i tylko żydowskie rodziny zatrudniali, ale żona źle się czuła wśród nich i przeniosłem się z powrotem do Torunia. Tam zacząłem pracować, rodzinę miałem, trójkę dzieci. Po śmierci żony zaopiekowała się mną najmłodsza córka Wiesia. Mam siedmioro wnucząt i dziesięcioro prawnucząt. To ładna gromadka, no to dziadek, pradziadek musi żyć i tam od czasu do czasu sięgać do kieszeni na urodziny i dlatego chce się żyć.

1 Antoni Szostak ożenił się z wdową po Władysławie Dzikoniu, który poległ w bitwie pod Osuchami.⁶²

(opr. Maria Działo)